Zdążyłam na swój pociąg

Rozmowa z Anną Gordijewską – dziennikarką „Kuriera Galicyjskiego” we Lwowie, aktorką i przewodnikiem po mieście.

Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

Janusz M. Szlechta: Cały świat śledzi z niepokojem to, co dzieje się na wschodzie Ukrainy. Rosja zabrała Ukrainie Krym, trwają walki w Donbasie. Czy czujecie tę wojnę we Lwowie? Czy nie boicie się, co dalej będzie, jak to się zakończy?

Anna Gordijewska: Kiedy „wybuchnął" Majdan – była euforia. Wyszli tam protestować głównie młodzi ludzie, była nadzieja, że coś się zmieni, że w kraju będzie lepiej. Ale kiedy przerodziło się to w walki, kiedy rozpoczął się konflikt zbrojny z Rosją i w grę weszły duże pieniądze – bo rozpoczęła się również wojna oligarchów – ludzie zaczęli się bać.

W Donbasie codziennie giną ludzie, więc codziennie towarzyszy nam lęk o to, jak się ta wojna skończy… Tego nikt nie wie. My w telewizji widzimy to samo, co oglądają ludzie w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Jeśli nie ma potrzeby, nikt nie jedzie tam, gdzie trwają walki. Ja tam nie byłam…

We Lwowie bezpośrednio wojny nie widać. Ale to jest przecież jeden kraj, więc odczuwamy wojnę przede wszystkim emocjonalnie i ekonomicznie. Zarabiamy mniej, wzrosło bezrobocie. W rodzinach, w których są synowie, panuje strach przed tym, co będzie, bo jest ogłoszona mobilizacja. Chłopcy są

brani do armii. Część młodych mężczyzn wyjechała za granicę, także do Polski; niektórzy nie odbierają „powistek”, czyli powołań do wojska. Wielu młodych chłopaków mówi: *My jesteśmy patriotami, gotowi jesteśmy pójść walczyć, ale chcemy wiedzieć, dla kogo mamy walczyć!* Panuje bowiem wielki chaos w ludzkich głowach i sercach. Wojna ta często odbierana jest jako wojna oligarchów. Rosja nie przyznawała się, że wysłała na Krym wojska specjalne, aby go zdobyć. My wiemy tylko tyle, że pojawiają się nagle „zielone ludziki”, a w sklepach można kupić wojskowe mundury.

Dla nas jest jasne jedno: Krym został zabrany Ukrainie! Nie ma bezpośredniego połączenia z Rosją, więc Rosja będzie walczyć, dopóki nie zdobędzie korytarza we wschodniej Ukrainie. We Lwowie obserwujemy natomiast, że jest coraz więcej osób rosyjskojęzycznych. Są to na ogół uciekinierzy ze wschodniej Ukrainy. Do czasów wojny we Lwowie dominował język ukraiński. Oczywiście było sporo turystów, w tym Polaków, więc nasz język też był często słyszany. Kiedy prezydentem był Wiktor Juszczenko, zaczęła się walka z językiem rosyjskim i w pewnym momencie jakby zniknął z oficjalnego obiegu.

JSz: A czy ludzie ze Lwowa uciekają, próbują znaleźć sobie bezpieczniejsze miejsce do życia – myślę tu głównie o naszych rodakach?

AG: Oczywiście, że uciekają, zresztą nie tylko nasi. Polacy z Polski zawsze mieli większe możliwości wyjazdu za chlebem, czy z innych powodów, aniżeli Polacy ze Lwowa. Po II wojnie światowej wielu Polaków zostało zmuszonych do opuszczenia Lwowa, nie mieli wyboru. W późniejszych latach ci, którzy tutaj zostali, uświadamiali sobie, że jednak żyją w obcym kraju. Stąd też pojedynczo, lub całymi rodzinami – jeśli tylko było to możliwe – wyjeżdżali do Polski i próbowali ułożyć sobie tam życie. Dużo osób opuściło Lwów po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce. Podobnie jest dzisiaj.

Aby zostać we Lwowie, trzeba być człowiekiem z charyzmą. Jeżeli ktoś żyje nie tylko dla siebie, widzi potrzebę udzielania się i pracy dla innych, zawsze znajdzie swoje miejsce. Ale też sporo jest takich rodaków, którzy nigdzie nie wyjechali, bo nie mieli dokąd, do kogo, nie mieli pomysłu na wyjazd albo odwagi.

JSz: A Ty… nie próbowałaś wyjechać do Polski? Na pewno znalazłabyś tam swoje miejsce, masz przecież wielu przyjaciół, jesteś osobą znaną w kręgach dziennikarskich…

AG: Nie ukrywam, że miałam dylemat, co robić? Szybko jednak uświadomiłam sobie, że jednak nie, nigdzie nie jadę… Urodziłam się przecież we Lwowie – to jest moja mała ojczyzna. Uczyłam się w polskiej szkole imienia św. Marii Magdaleny, która w 2016 roku będzie obchodzić piękny jubileusz 200-lecia działalności.

Niewielu Polaków na świecie może się dzisiaj pochwalić, że uczyli się w szkole z tak bogatymi tradycjami. W tej szkole uczyło się wielu znakomitych Polaków.

W czasach Związku Radzieckiego we Lwowie były dwie polskie szkoły: szkoła imienia Marii Magdaleny i imienia Marii Konopnickiej – założona już po II wojnie. Sowieci uznali, że Polakom wystarczy jedna szkoła i chcieli jedną z nich zamknąć – wybór padł na tę, w której ja się uczyłam. Dzisiaj gorąco dziękujemy naszym rodzicom za to, że mieli odwagę jej bronić. Specjalna delegacja, złożona z matek, pojechała do Moskwy prosić, aby nie zamykano szkoły, bo jest bardzo potrzebna. W tej delegacji była również moja mama Maria (z domu Wołoszyńska). Mama była zawsze kobietą zdecydowaną i śmiałą w swoich wypowiedziach, decyzjach i poczynaniach. Władze sowieckie powiedziały wtedy tak: my wam zostawimy tę szkołę, ale pod warunkiem, że stworzycie w niej muzeum jakiegoś polskiego bohatera. Wówczas rodzice zaproponowali, aby utworzyć muzeum Feliksa Dzierżyńskiego.

Teraz może się to wydawać śmieszne, a nawet niesamowite, ale należy pamiętać, jakie to były czasy. Brzmi to jak paradoks, ale właśnie Feliks Dzierżyński uratował szkołę przed zamknięciem. Co jakiś czas przychodziła komisja i pytała kierownictwo szkoły: jest muzeum? No jest – mówiła dyrektorka. A kto jest bohaterem tego muzeum? – pytała dalej komisja. No, Feliks Dzierżyński –

padała odpowiedź. Członkowie komisji z uznaniem kiwali głowami i odchodzili. Ja, jako uczennica, nigdy w tym muzeum nie byłam. Zresztą moi koledzy i koleżanki również. Ale dzięki temu muzeum szkoła przetrwała…

JSz: No, a wcześniej nie próbowałaś wyrwać się ze Lwowa w świat, zmienić coś w swoim życiu?

AG: Moja młodość, ta piękna i szalona nieco, przypadała na lata, kiedy w Polsce był okres strajków, potem stan wojenny, potem czas lizania ran po stanie wojennym… Uczyłam się we Lwowie, bo nie miałam żadnego wyboru, żadnej możliwości wyjazdu dokądkolwiek. My, Polacy, mieliśmy określony status. Nie odczuwałam, aby mnie ktoś śledził czy prześladował, ale niemal na każdym kroku odczuwaliśmy to, że jesteśmy inni. Na studia dostawali się najzdolniejsi oraz dzieci kołchoźników, wojskowych, członków komunistycznej partii… Polacy byli gdzieś tam daleko w kolejce, a więc szanse na podjęcie studiów były niewielkie.

JSz: A czy mogliście normalnie, na co dzień mówić po polsku? Nie ponosiliście konsekwencji z tego powodu, że mówiliście w tym języku?

AG: Język polski w tym mieście był popularny i potrzebny, bo było to miasto na pograniczu. Używali go nawet Ukraińcy na

różnych szczeblach, którzy uczyli się go w przedwojennych gimnazjach. Nie było wówczas filologii polskiej na Uniwersytecie Lwowskim, tylko katedra filologii słowiańskiej. Nasza młodzież miała wówczas szanse wyjazdu na studia polonistyczne jedynie do Wilna. Gdybym wtedy wyjechała do Polski, na pewno moje życie ułożyłoby się inaczej. Tuż przed stanem wojennym wyjechała do Polski moja mama, nieco później moja starsza siostra Jolanta.

JSz: Czy dziennikarstwo to był Twój świadomy wybór i chciałaś się poświęcić tej profesji? Myślałaś już wówczas o pracy w mediach polskich czy rosyjskojęzycznych?

AG: Tak, to była moja przemyślana decyzja. Nie mam problemu z pisaniem w języku ukraińskim czy rosyjskim, ale myślałam o pracy przede wszystkim w mediach polskich. Skończyłam studia dziennikarskie w Akademii Poligraficznej we Lwowie, ze specjalizacją „redaktor naukowo-technicznej literatury i informacji". Kiedy zdobyłam dyplom, dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Mogłam pisać pracę doktorską, bo zostałam wytypowana przez mojego promotora, ale wybrałam doktorat z… macierzyństwa. Urodziłam córeczkę Kasię, a trzy lata później Elizę.

W tym czasie mój mąż, który był wykładowcą w Akademii Poligraficznej, bardzo intensywnie pracował, gdyż chciał obronić

doktorat. Ja poświęciłam się więc wychowywaniu dzieci i domowi. I byłam bardzo szczęśliwa.

Kiedy dziewczynki już troszkę podrosły, zaczęłam szukać pracy, ale chciałam, aby była to praca związana ze środowiskiem polskim. Byłam przez wiele lat odseparowana od tego środowiska, obracałam się wśród lwowiaków różnych narodowości, czułam więc potrzebę powrotu do środowiska polskiego. Moje córki poszły oczywiście do polskiej szkoły im. Marii Magdaleny. Szybko zostały harcerkami, więc wówczas zaczęłam udzielać się w harcerstwie.

Pewnego razu dyrektorka szkoły Marta Markunina zapytała mnie, czy nie chciałabym studiować w Polsce. Warunek był taki, że jak skończę studia i wrócę do Lwowa, to będę pracować w Polskim Radiu Lwów.

Ojciec powiedział wówczas: *Twój pociąg odjeżdża i jeśli chcesz coś w życiu osiągnąć, to musisz do niego wsiąść, nawet do ostatniego wagonu*. Natomiast mój mąż powiedział: *Kiedy urodziłaś drugą córkę – ja broniłem doktorat; ty zrezygnowałaś wówczas ze swojego doktoratu. Teraz, kiedy jest taka możliwość, skorzystaj z niej i jedź na studia do Polski. My sobie tutaj damy radę*.

JSz: No i co, wsiadłaś do tego pociągu, który powiózł Cię do

Polski i otworzył przed tobą inny świat?

AG: Bardzo dziękuję za to moim ukochanym mężczyznom, którzy byli i są dla mnie prawdziwą opoką. Teraz wiem, że aby coś w życiu osiągnąć, trzeba mieć wsparcie bliskich ludzi. Nie była to łatwa decyzja, nie było mi też łatwo studiować, ale dzięki tej decyzji moje życie bardzo się zmieniło – oczywiście na lepsze.

Skończyłam Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Lublinie. Studia trwały dwa lata, w trybie stacjonarnym. Zazwyczaj cztery dni byłam w Lublinie, a na koniec tygodnia jechałam do Lwowa, do rodziny. Pamiętam, jak dojeżdżałam do Lwowa autobusem, często pełnym handlarzy z worami załadowanymi towarem.

JSz: Co Ci te studia dały, czego się tam nauczyłaś? Czy było to przydatne później w twojej codziennej pracy?

AG: Była to naprawdę dobra szkoła życia i dziennikarstwa. Mieliśmy wspaniałych wykładowców – byli to znani dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni. To był czas, kiedy do telewizji i do mediów zaczęły wkraczać komputery.

Dyrektor Studium Komunikowania, ks. prof. Leon Dyczewski, kiedy nas żegnał i wręczał nam dyplomy po jego ukończeniu w

roku 1997, powiedział o mnie: *Ta pani wraca do Lwowa i będzie nowoczesną dziennikarką, będzie mogła korzystać z komputerów i na pewno będzie ważnym łącznikiem Lwowa z Polską*.

Miałam dodatkowy powód do dumy, bo dyplom ukończenia studium wręczył mi sam Krzysztof Zanussi, znakomity reżyser filmowy, który również prowadził z nami zajęcia. Świadkami tego wydarzenia były moja mama i siostra.

Lwów

JSz: Pracę dyplomową zapewne pisałaś o Lwowie, bo… nie widzę innej możliwości.

AG: Oczywiście. W pierwszej chwili stwierdziłam, że będę pisać o Lwowie, tak od serca. Po rozmowie z moją promotorką Anną Kaczkowską – jedną z najlepszych wówczas dziennikarek Radia Lublin – doszłam do wniosku, że temat zawężę i opiszę Cmentarz Łyczakowski.

W latach 90. polskie władze rozpoczęły trudne rozmowy ze stroną ukraińską na temat renowacji tego cmentarza. Planowano ukończenie prac w roku 1998. Kiedy pisałam tę swoją pracę, któregoś dnia przyszłam na cmentarz. Prowadzono właśnie prace ekshumacyjne. Zobaczyłam ciała obrońców Lwowa, tak zwanych Orląt, którzy zmarli śmiercią naturalną wiele lat później i byli pochowani nieco dalej od tych, którzy zginęli w walce. W latach 70. przez te nagrobki została poprowadzona asfaltowa droga.

Przyszłam z mikrofonem, aby nagrywać rozmowy. Przy ekshumacji pracowała wówczas ekipa katyńska pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli z Torunia. Nigdy nie zapomnę tego momentu: zobaczyłam rozkopane groby, ludzkie czaszki na wierzchu, kości rąk i… po prostu przestraszyłam się. Prof. Kola powiedział wtedy do mnie: *Niech się pani nie boi tych ludzi w grobach. Trzeba się bać żywych, którzy nie zawahali się zbudować drogi na grobach ludzi*.

Wiele razy przychodziłam potem na cmentarz i zaprzyjaźniłam się z tą ekipą. Kiedy wreszcie w 2005 roku nastąpiło otwarcie

odrestaurowanego Cmentarza Łyczakowskiego i dla mnie zabrakło miejsca w pierwszych rzędach podczas tej uroczystości, cała ekipa z prof. Kolą wstała i zaprosili mnie do siebie. To są momenty, których nie sposób zapomnieć. Tytuł mojej pracy brzmiał: *Wspólnota żywych i umarłych*. Opisałam historię Cmentarza Łyczakowskiego wraz z Cmentarzem Orląt i wiele miejsca poświęciłam właśnie ekshumacji.

JSz: Skończyłaś studia w Lublinie i wróciłaś do Lwowa. Czy właśnie wtedy trafiłaś do Polskiego Radia Lwów?

AG: Tak, podjęłam pracę w radiu. Była to praca w pełni społeczna, nikt tam nie miał etatu. Radio powstało w 1992 roku, więc już w trakcie studiów współpracowałam z tą rozgłośnią – przede wszystkim przekazywałam korespondencje z Lublina. Kiedy ruszałam na miasto z mikrofonem w ręku i słuchałam znakomitych ludzi, uświadomiłam sobie, że najważniejszy dla mnie jest Lwów. Starałam się gromadzić jak najwięcej informacji o tym mieście, czym ono było kiedyś dla Rzeczypospolitej, dla Polaków. Spotykałam wielu ludzi, którzy pamiętali dawny Lwów i dawne życie na Kresach, nagrywałam ich. Cieszę się, że nagrałam tylu wspaniałych ludzi, że miałam możliwość ich spotkać, dotknąć ich, porozmawiać z nimi.

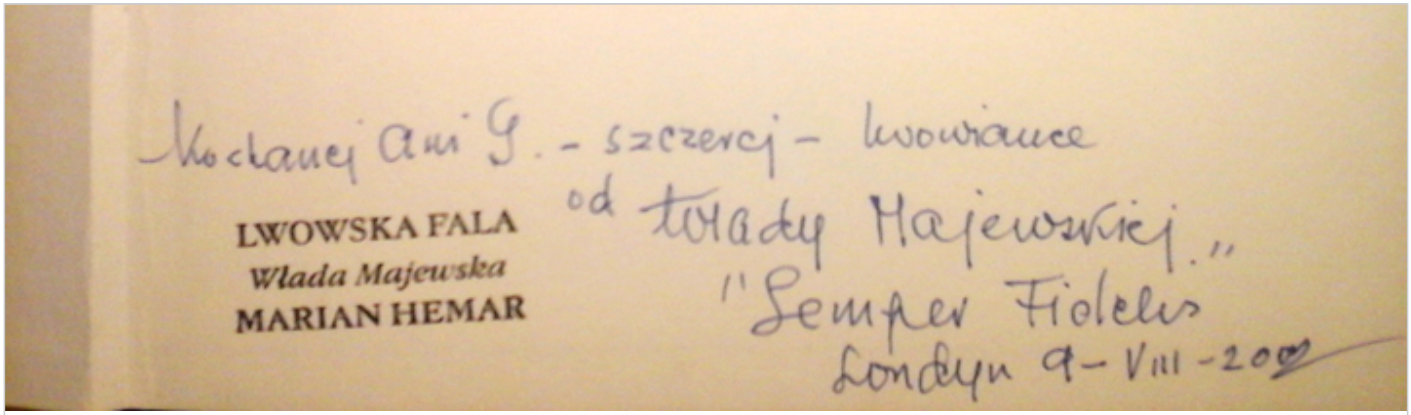

Dedykacja od Władzi Majewskiej.

Zaczęłam nadawać korespondencje ze Lwowa do różnych rozgłośni w Polsce, ale także za granicą – w tym do Chicago oraz do polskiej sekcji Radia BBC w Londynie. Dostałam zaproszenie do Anglii, gdzie spotkałam się z legendą przedwojennego Radia Lwów Władą Majewską. Była wówczas ostatnią żyjącą osobą, która w tym radiu pracowała. Podczas nagrania wywiadu pani Włada rozpłakała się i powiedziała: *Wszystko bym oddała, aby tylko wrócić do Lwowa*. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że tamtego Lwowa już nie ma, że to jest już inne miasto. A ona wówczas zauważyła: *Tak, to prawda, ale miasto to nie są tylko kamienice. Miasto to przede wszystkim ludzie, którzy tworzyli ten niesamowity Lwów, którzy decydowali o jego klimacie i charakterze*. To spotkanie utkwiło mi w pamięci do końca życia. Na półce pozostało kilka książek, podarowanych mi przez nią z dedykacją… Włada Majewska zmarła w wieku stu lat.

Kiedy ci znani i mniej znani ludzie zaczęli odchodzić, nagle

zaczęłam mieć pretensje do siebie, no bo przecież mogłam spotkać się z nimi, wysłuchać ich, nagrać, ocalić wiele ciekawych informacji, refleksji i przeżyć.

JSz: Wiem o czym mówisz… Ja już dawno uświadomiłem sobie, że nie ma takiej możliwości, aby do wszystkich ludzi, którzy nas zadziwiają czy zachwycają, dotrzeć, aby z nimi porozmawiać i utrwalić ich wiedzę i refleksje. Jeśli uda nam się zatrzymać w czasie chociaż niektórych z nich, to już jest powód do satysfakcji.

AG: Najpierw, kiedy jesteśmy dziećmi, widzimy, że odchodzą ludzie w wieku naszych dziadków, a potem w wieku rodziców. Teraz odchodzą nasi rówieśnicy… To zaczyna się rozumieć dopiero wówczas, kiedy człowiek osiąga wiek dojrzały. Dlatego zaczynam się śpieszyć, aby spotkać i nagrać jak najwięcej wspaniałych ludzi. Wiele wypowiedzi tkwi w mojej głowie, zmuszają mnie do refleksji. To jest to, co nas rozwija. Ksiądz Jan Twardowski napisał genialne słowa w swoim wierszu: *Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą…*

JSz: Ile lat pracowałaś w Polskim Radiu Lwów? Kiedy i dlaczego z niego odeszłaś?

AG: Praca w radiu mnie fascynowała, wszystko co robiliśmy dawało nam radość, odczuwaliśmy, że jesteśmy potrzebni w polskim środowisku we Lwowie. Łączyły nas młodość, pasja i

satysfakcja z pracy społecznej. Przepracowałam w radiu prawie 20 lat. Odeszłam na początku 2014 roku.

Zawsze jest tak, że coś się kończy… Postanowiłam poszukać dla siebie innego miejsca. Nie wolno bać się wyzwań, czegoś nowego. Jeśli coś przestaje się układać albo czujesz, że drepczesz w miejscu, to warto to zmienić. Odeszłam z radia i po kilku miesiącach dostałam propozycję pracy w „Kurierze Galicyjskim".

Nie przyszło mi to lekko. Na szczęście za mocno nie bolało, bo jednak zostałam w mediach i robię to, co robiłam wcześniej, tylko troszeczkę inaczej.

JSz: Czym zajmujesz się w „Kurierze Galicyjskim", jaką problematyką?

AG: „Kurier Galicyjski" powstał 8 lat temu. Jego założycielem, wydawcą i redaktorem naczelnym jest Mirosław Rowicki. On sam mówi, że kiedyś opisze swoją historię w pamiętnikach – zostawię więc to jemu. „Kurier Galicyjski" to największe polskie medium na Ukrainie. To nie tylko „papierowa" gazeta o nakładzie przekraczającym 10 tysięcy egzemplarzy. To także portal internetowy z powodzeniem spełniający rolę internetowej gazety codziennej – www.kuriergalicyjski.com. Wydajemy też pismo dla dzieci „Polak Mały". Dwa lata temu powstała nasza telewizja,

dostępna na razie w internecie na kanale YouTube: www.youtube.com/user/Kuriergalicyjski.

Niedawno ruszyło we Lwowie nasze radio, które współpracuje z Radiem Wnet w Warszawie, prowadzonym przez Krzysztofa Skowrońskiego. Na pewno będziemy się rozwijać. Na łamach gazety czytelnik może znaleźć różne tematy: od kulturalnych, sportowych, historycznych, poprzez społeczne, po aktualne wydarzenia polityczne. Jeśli trzeba przygotować bieżące informacje czy materiały to oczywiście to robię, ale przede wszystkim postanowiłam robić dalej to, co robiłam przez tyle lat w radiu – chcę zachować w pamięci swojej i ludzi te postacie, które są tego warte, bo są – bądź byli – wielkimi Polakami. Staram się też odnajdywać i nagrywać ciekawych ludzi z Kresów.

W pewnym momencie w „Kurierze Galicyjskim" moim żywiołem stała się telewizja. Film, pokazujący człowieka i zawierający jego wypowiedzi, ma zdecydowanie większą wartość dokumentalną, aniżeli sam głos nagrany na taśmie czy na elektronicznym rejestratorze. Staram się więc takie materiały filmowe obecnie realizować.

Rok temu, podczas Przeglądu Filmów Polskich „Pod Wysokim Zamkiem", odbyło się spotkanie z legendą polskiego kina Danutą Szaflarską. Miałam możliwość zadania kilku pytań słynnej aktorce i oczywiście zapytałam, czy była kiedykolwiek we

Lwowie. Odpowiedziała, że dawno marzyła o tym, aby przyjechać do naszego miasta. Przyznała się, że przed wojną miała propozycję studiowania we Lwowie, ale nie zdążyła… A wojna zmieniła wszystkie plany. To wspaniała aktorka, kobieta pełna pogody ducha – z takich ludzi trzeba brać przykład. jak uśmiech upiększa każdego człowieka. W wieku 99 lat przyjechała po raz pierwszy do Lwowa! Czyli nigdy nie jest za późno.

Później obejrzeliśmy film dokumentalny o jej życiu i twórczości. Wyszłam ze spotkania zauroczona panią Danutą i natchniona. Spotkałam przy wyjściu z kina Zbigniewa Chrzanowskiego – aktora, reżysera i dyrektora Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Zapytałam go, czy zgadza się na to, abym nakręciła film o nim i o teatrze…

Obecnie pracuję nad największym swoim dziełem – 30-minutowym filmem dokumentalnym, który będzie nosił tytuł „Moje magiczne miejsca”. Jest to sentymentalna wędrówka Zbigniewa Chrzanowskiego, z którym odwiedzamy najważniejsze miejsca związane z historią i działalnością przedwojennej sceny polskiej we Lwowie. Film ten był przedstawiony na festiwalu filmów emigracyjnych EMIGRA w Warszawie.

JSz: Czy „Kurier Galicyjski” jest dostępny w Polsce?

AG: Jest to aktualnie największe polskie pismo dostępne w całej

Ukrainie. Ma się dobrze i nawet się rozwija. Jest dostępne w Warszawie i Przemyślu. Można też zamówić prenumeratę do Polski i innych krajów za pośrednictwem naszej redakcji. Wystarczy wysłać e-mail na adres kuriergalicyjski@wp.pl. Jeśli ktoś chce zobaczyć, co i jak robimy, to mamy, jak już wspomniałam, własny portal internetowy: www.kuriergalicyjski.com Tam też można przeczytać każdy numer „Kuriera" w pdf-ie, a także obejrzeć nasze filmy. Mamy sporo współpracowników w Polsce, piszą też do nas pasjonaci z całego świata. Główna siedziba redakcji jest we Lwowie.

JSz: Jakie inne polskie media – oprócz Polskiego Radia Lwów i „Kuriera Galicyjskiego" – istnieją we Lwowie i innych miastach Ukrainy?

AG: We Lwowie nie ma aktualnie innych polskich mediów, oprócz tych, które wymieniłeś, jeśli nie liczyć wydawanego w niewielkim nakładzie kwartalnika Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie – „Nasze Drogi". Nie mamy tu też żadnych gazet z Polski. Nie ma już, niestety, polskiej księgarni, która istniała w czasach Związku Radzieckiego. Niestety teraz, kiedy ludzie często nie mają na chleb, a ceny polskich książek są wysokie – po prostu nie stać ich na taki wydatek. Dzięki internetowi nie ma dzisiaj problemu ze słuchaniem polskich stacji radiowych czy oglądaniem programów telewizyjnych – niestety, większość z nich jest zakodowana.

Na Ukrainie jest kilka polskich rozgłośni radiowych i telewizyjnych. Poza Lwowem i Stanisławowem, gdzie nadawana jest w eterze, tworzona przez „Kurier Galicyjski", audycja „Na polskiej fali", istnieje też polska rozgłośnia w Berdyczowie. Polskie audycje telewizyjne nadawane są w Winnicy, Żytomierzu i Łucku.

Wydawane są też polskojęzyczne gazety. W Winnicy, na Podolu, jest to miesięcznik „Słowo Polskie", a w Kijowie dwutygodnik „Dziennik Kijowski" i kwartalnik „Krynica". W mieście Ostróg wydawane jest „Wołanie z Wołynia", a w Berdyczowie – „Mozaika Berdyczowska". W Łucku wydawane jest dwujęzyczne pismo „Monitor Wołyński". Istnieje też kilka lokalnych czasopism, które jednakże są wydawane w niewielkim nakładzie.

JSz: Aniu, poznaliśmy się latem, w roku 1998, w Clifton w stanie New Jersey, kiedy przyjechałaś do USA na zaproszenie Iwony Rachelskiej, ówczesnej szefowej telewizyjnego programu Studio 3. Udzieliłaś mi wywiadu, który ukazał się na łamach „Nowego Dziennika". Mówiłaś wówczas pięknie o swoich trzech miłościach… Przypomnij zatem, jakie są te twoje miłości.

AG: Miałam wtedy trzy swoje miłości: polski Lwów, polską szkołę imienia Marii Magdaleny i Polskie Radio Lwów. Radio Lwów na pewno pozostanie dla mnie ważnym miejscem, bo oddałam mu prawie 20 lat swojego życia. Wielokrotnie groziło mu zamknięcie.

Ratowaliśmy je dzięki wsparciu przyjaciół z zewnątrz – między innymi dzięki tobie, Januszu. Dzisiaj i zawsze będę tym wszystkim osobom wdzięczna, że pomagali nam ratować radio. A przecież była to nasza praca społeczna, płynąca z potrzeby serca. Dzisiaj doszła jeszcze czwarta miłość – do „Kuriera Galicyjskiego”.

Moje córki w pewnym momencie nawet się na mnie obraziły, że tak mówiłam, ale wyjaśniłyśmy sobie, że dom i rodzina to jest moja sfera prywatna, która podlega ścisłej ochronie i oczywiście jest dla mnie najważniejsza.

Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

JSz: W 2002 roku spotkaliśmy się ponownie, tym razem w Tarnowie, podczas X Światowego Forum Mediów Polonijnych, które przez dwadzieścia lat organizowało Małopolskie Forum Współpracy z Polonią. Ja przyjeżdżałem jako dziennikarz nowojorskiego „Nowego Dziennika", a ty jako dziennikarka Polskiego Radia Lwów. Wróćmy więc na chwilę do tamtych czasów, Forum dla dziennikarzy polskich rozsianych po świecie było bowiem bardzo ważnym wydarzeniem. Nie sposób o nim zapomnieć…

AG: Forum było ogromnie ważnym wydarzeniem, połączyło bowiem polskich dziennikarzy ze Wschodu z tymi z Zachodu. Dzięki Forum stało się coś, co było praktycznie nieosiągalne, ba, trudno było sobie coś takiego wyobrazić. My ze Lwowa, dzięki Forum, zyskaliśmy możliwość bezpośredniego kontaktu z kolegami z krajów zachodnich, także z USA. Te kontakty znakomicie owocują do dziś. Zawiązały się liczne przyjaźnie, nawzajem odwiedzamy się w różnych krajach, wspomagamy się dziennikarsko. Jak ktoś zajrzy na chwilę do Polski, natychmiast pędzimy jeden do drugiego, aby bodaj na chwilę się spotkać. Czegoś takiego nie mogłabym nawet wyśnić…

To, co robiliśmy na Forum Mediów Polonijnych, co

przeżywaliśmy, czego uczyliśmy się – dzisiaj mogę to zupełnie szczerze powiedzieć – jest to nasz ogromny kapitał, który procentuje do dziś. Cały czas byliśmy przed kamerami i mikrofonami polskich stacji telewizyjnych i radiowych, udzielaliśmy wywiadów nawzajem jeden drugiemu – i to mnie również bardzo inspirowało. Dzisiaj bardzo żałuję, że wówczas nie nagrałam wywiadów z osobami, które już odeszły. Właśnie dopiero wtedy, kiedy ktoś odejdzie na zawsze, łapiemy się za głowę i mówimy: a dlaczego nie nagrałam z nim rozmowy, nie utrwaliłam tego, co ten człowiek miał do powiedzenia?!

Dzięki Forum moje Radio Lwów nawiązało współpracę z polskim radiem w Chicago. Co środę jeden z dziennikarzy telefonował do nas i przekazywał informacje nie tylko o tym, co działo się w środowisku polonijnym, ale również o normalnym życiu Ameryki.

Kiedy przyjechał do Lwowa Jan Paweł II w 2001 roku, dzwonili do nas i pisali koledzy z Ameryki, ze Szwecji czy z Argentyny i pytali, jak wygląda Lwów przed przyjazdem papieża, co robimy, jak się przygotowujemy… Bo akredytowani dziennikarze przyjechali do Lwowa dopiero w dniu przyjazdu papieża. Podobnie było wówczas, kiedy wreszcie nastąpiło otwarcie Cmentarza Orląt Lwowskich w 2005 roku. Aby oddać atmosferę, wiedzieć coś więcej, trzeba być jednak na miejscu, trzeba w tym wydarzeniu uczestniczyć… a my byliśmy na miejscu.

JSz: Jedną z najstarszych istniejących polskich instytucji kulturalnych we Lwowie jest Polski Teatr Ludowy, który został założony w 1958 roku. Od wielu lat jesteś związana z tym teatrem, grywasz w różnych sztukach. Jak to się stało: przypadek czy autentyczna potrzeba zaprowadziła Cię na scenę?

AG: To było w maju w roku 2001. Zadzwoniła do mnie Jadwiga Pechaty, moja koleżanka, od zarania dziejów grająca w tym teatrze. *Aniu, przygotowujemy „Kartotekę" Różewicza – powiedziała – i potrzebujemy pilnie, aby ktoś zagrał dziennikarkę. Pomyślałam sobie, że ty będziesz świetna w tej roli* – dodała. Byłam zaskoczona, zmieszana. *Nie wiem, czy sobie poradzę?* – próbowałam się bronić. *Nie martw się, poradzisz sobie* – przekonywała mnie Jadwiga.

No i zgodziłam się. Była to ostatnia scena. Usiadłam na łóżku, wzięłam do ręki mikrofon i zaczęłam rozmawiać z głównym bohaterem, którego grał Zbigniew Chrzanowski. Pamiętam do dziś, jak drżała mi ze zdenerwowania ręka, w której trzymałam mikrofon. Przerażona pomyślałam, żeby tylko głos mi tak nie drżał… Ale w tym momencie nastąpiło olśnienie. Uświadomiłam sobie, że przecież w przeszłości kilka razy przeprowadzałam wywiady z panem Chrzanowskim – dyrektorem teatru, który kieruje nim do dziś. Oddzieliłam widownię od siebie i zaczęłam z nim rozmawiać tak, jak kiedyś, kiedy we dwoje siedzieliśmy i rozmawialiśmy… A to, że pytania wymyślił Różewicz, wcale mi

nie przeszkadzało. Wszyscy koledzy aktorzy bali się, jak to wyjdzie, bo to była praktycznie improwizacja w moim wydaniu, nie było bowiem czasu na przygotowania. Stali za kulisami i patrzyli, i wsłuchiwali się. Udało się i wszyscy odetchnęli z ulgą. Od tego momentu rozpoczęła się moja przygoda z teatrem.

JSz: Jest to teatr wprawdzie amatorski, ale prezentuje świetny poziom, stawia wysokie wymagania aktorom i niełatwo dostać się do zespołu – oznacza to, że jesteś po prostu szczęściarą.

AG: To nie ulega wątpliwości. Dyrektorem teatru i głównym reżyserem jest Zbigniew Chrzanowski – postać wielka i znana. W spektaklach gra wiele wspaniałych aktorek, które poświęciły się temu teatrowi bez reszty. Przeważają Polacy, ale są też Ukraińcy i Rosjanie. Warto wspomnieć, że wiele lat pracował w tym teatrze – jako scenograf i aktor – Walery Bortiakow, który był Rosjaninem, Sybirakiem. Tak zakochał się w tym polskim teatrze, i tak mu dobrze było wśród Polaków, że często podkreślał: *Ja jestem największym Moskalem wśród Polaków*.

Niestety, kilka lat temu odszedł od nas na zawsze. Pomagał w przygotowaniu dekoracji na obchody Święta 3 Maja i spadł z drabiny. Wkrótce potem zmarł. Miał niewiele ponad 60 lat. Bardzo nam go brakuje. Na początku lipca 2015 roku Jadzia zaprosiła kolegów i koleżanki do siebie. *Dzisiaj są urodziny Walerego. Spotkajmy się* – napisała na Facebooku. Dzięki takim

spotkaniom mamy nadzieję, że Walery patrzy na nas z góry i się cieszy. Znowu byłam szczęściarą, że miałam okazję go poznać i pracować z nim.

Teatr wystawia ambitne sztuki we Lwowie, ale znają nas też w Polsce, w Czechach i na Litwie. Bierzemy udział w licznych festiwalach teatrów polonijnych. I wówczas często spotykam przyjaciół, którzy kiedyś uczestniczyli w Światowym Forum Mediów Polonijnych.

Jest to teatr amatorski, ale są to amatorzy zaawansowani, którzy grają od wielu lat. Każdy musi pracować, bo z czegoś trzeba żyć, ale teatr jest naszą pasją. Czujemy się jedną wielką rodziną. Najfajniejsze są momenty, kiedy siedzimy wszyscy w autobusie, a przed nami długa droga… Wtedy jest czas, aby porozmawiać, nacieszyć się sobą. Teatr stał się dla mnie bardzo ważny.

Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie.

JSz: Jakie spektakle prezentujecie? Jakie role grywasz?

AG: Gram na ogół malutkie role, ale nie to jest najważniejsze. Cieszę się, że jestem w teatrze, że mogę uczestniczyć w różnych spektaklach i w życiu ludzi tego teatru. W końcu nie każdy może być w życiu gwiazdą!

Ludzie powinni czasami zatrzymać się w swoich ambicjach,

pomyśleć nieco inaczej o sobie, o życiu. Nam jest razem dobrze – i to jest najważniejsze.

JSz: No dobrze, ale nie powiesz mi, że ot, tak sobie, z przypadku, zostałaś aktorką i to Cię cieszy. Nigdy nie marzyłaś o tym, aby występować na scenie, grać w filmach, nie próbowałaś się realizować jako aktorka?

AG: Oczywiście, że marzyłam o tym, żeby być gwiazdą. Kiedyś, jako mała dziewczynka, na podwórku wystawiałam spektakle swojego teatru lalkowego, reżyserowałam spektakle według znanych bajek. Była kurtyna, dzieciarnia na widowni, bilety – wszystko jak w krainie Melpomeny.

W szkole podstawowej im. Marii Magdaleny był teatr, który prowadziła nasza polonistka, pani Maria Iwanowa. Teatr ten nazywa się Baj i do dziś działa. Pani Maria wymyśliła kiedyś coś takiego, że para ubrana po krakowsku podchodzi do półki, zdejmuje z niej książkę, otwiera i nagle ożywają postacie z tej książki. Ja grałam rolę pani Słowikowej – miałam wtedy 9 lat. Ubrana byłam w piękny strój, który zrobiła mi mama. A sąsiad, który był malarzem, namalował do tego stroju pióra. Martwiłam się bardzo, dlaczego nie wraca do domu mój mąż – pan Słowik. A kiedy wreszcie się pojawił, powiedział: *Przyszedłem późno, bo wieczór był tak piękny, że szedłem piechotą*. Po spektaklu podszedł do mnie pan Leszczyc – starszy, dystyngowany pan,

który uznał, że najlepiej prezentowałam się na scenie i wręczył mi ogromny kosz kwiatów. Były to pierwsze kwiaty, jakie otrzymałam od mężczyzny.

Kiedy byłam w ósmej klasie, zagrałam poważną rolę – byłam Telimeną w „Panu Tadeuszu" Adama Mickiewicza. Ale nie zbierałam mrówek… Pamiętam swoją kreację, która była pożyczona z Teatru Polskiego. Miałam wówczas długie włosy i mama zrobiła mi francuskie loki – długimi szczypcami, które rozgrzewała na gazie. Meble i lustra, które stały na scenie, pożyczały nam starsze wówczas panie, Polki – bo to były zachowane dobra rodowe. Wyszłam na scenę, potknęłam się, bo z trudem dźwigałam swój strój i omal nie upadłam nosem wprost w wystający gwóźdź. Zdołałam jednak utrzymać równowagę, ale z wrażenia zapomniałam swojej roli. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

JSz: Jesteś dziennikarką, bo wybrałaś ten zawód, ale jesteś również aktorką. No i jesteś przewodnikiem po Lwowie – masz stosowny dyplom. To też był Twój świadomy wybór, wynikający z wewnętrznej potrzeby?

AG: Kiedy pracowałam społecznie w Radiu Lwów, gdzieś musiałam zarobić na swoje potrzeby i utrzymanie rodziny. Zarabiałam więc jako przewodnik po Lwowie. Pierwszą wycieczkę oprowadziłam w 2000 roku. Nigdy wcześniej nie

przypuszczałam, że będę wykonywać dwie prace, które związane są z mikrofonem i gadaniem.

JSz: Czy teraz także, mimo wojny na wschodzie Ukrainy, oprowadzasz wycieczki po tym pięknym mieście?

AG: Oczywiście. Lwów, mimo wszystko, jest wciąż bardzo popularnym miastem wśród turystów. Nic dziwnego, drugiego takiego miasta przecież nie ma, a lwowska Starówka jest na światowej liście zabytków UNESCO.

Lwów żyje normalnie, jest piękny i pełen ludzi. Muszę jednak powiedzieć, że rok 2014 nie był dla przewodników dobry. Wojna sprawiła, że ludzie bali się podróżować. Po pewnym czasie Lwów znów zaczął przyciągać ludzi ze świata. W 2015 roku najwięcej przyjeżdża turystów z Polski – są to często podróże sentymentalne, powroty do przeszłości. Jeśli zapytam kogoś z Polski, co go tu, do Lwowa, sprowadziło, to prawie każdy odpowiada, że we Lwowie albo okolicach mieszkała kiedyś jego rodzina. Ktoś powiedział kiedyś, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a mnie się wydaje, że drogi prawie wszystkich Polaków prowadzą do Lwowa.

Zawsze podkreślałam, że kocham rzeczy piękne, bo urodziłam się w pięknym mieście. We Lwowie można dotknąć ręką wszystkich stylów architektonicznych, poczynając od renesansu. Swój gust i

zamiłowanie do architektury kształciłam właśnie na ulicach Lwowa.

JSz: Czy pojawiają się we Lwowie turyści z krajów zachodnich?

AG: Tak. Niedawno, w Podhorcach koło Lwowa, gdzie znajduje się jeden z najpiękniejszy polskich pałaców – pałac Koniecpolskich i Rzewuskich – spotkałam turystów, którzy przyjechali samochodem z rejestracją czeską. Okazało się, że byli to Niemcy. Kiedy zapytałam ich, co tu robią, czego szukają, odpowiedzieli: *Wędrujemy śladami cesarza Franciszka Józefa*. Cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef bywał w tym pałacu. Miał też swoją lożę w Operze Lwowskiej. Wychodziło się z niej bezpośrednio na dawną ulicę Legionów. Cesarz lubił przychodzić do opery podczas swoich pobytów w mieście, witał się z publicznością, a kiedy chciał wyjść – bo podobno lubił bardzo wcześnie chodzić spać – to po prostu po cichutku wychodził.

JSz: Co najchętniej pokazujesz zwiedzającym? Masz swoje ulubione miejsca?

AG: Oczywiście, ale zazwyczaj mamy określony program, dostosowany do danej grupy. Inny jest program dla grupy przebywającej we Lwowie jeden dzień, inny jest na dwa dni; zdarza się, że przygotowujemy program zwiedzania na trzy dni, ale rzadko – wtedy zazwyczaj grupa udaje się poza Lwów. W

programie każdej grupy jest zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego i Cmentarza Orląt Lwowskich.

Fenomenem Lwowa było to, że do II wojny światowej był stolicą trzech biskupów: obrządku rzymskokatolickiego, obrządku greckokatolickiego i ormiańskokatolickiego. Nawet Rzym nie był stolicą trzech biskupów. A trzy katedry, istniejące do dziś, są przepiękne i te katedry zawsze pokazujemy turystom. Rzymsko-katolicka szczególnie zapisała się w historii Polski, w niej bowiem 1 kwietnia 1656 roku złożył śluby król Jan Kazimierz.

W pałacu przy cerkwi świętego Jura, w 2001 roku, podczas jedynej wizyty we Lwowie, nocował papież Jan Paweł II. W tej cerkwi, pod batutą syna Mozarta – Ksawerego, odbyło się wykonanie słynnego „Requiem" napisanego przez ojca. Wybrał Lwów na miejsce koncertu, gdyż bardzo polubił to miasto, będące wówczas pod zaborem austriackim. Stąd też mamy we Lwowie słynną restaurację Amadeusz. Turyści często się dziwią, co tutaj robił kompozytor Mozart. My wyjaśniamy, że to nie Mozart, lecz jego syn Ksawery tutaj bywał. Kiedy miał 18 lat, założył we Lwowie Towarzystwo Świętej Cecylii.

A katedra ormiańska powstała w połowie XIV wieku, są w niej wspaniałe freski Jana Rosena. Po gruntownej restauracji, została ponownie otwarta w roku 2004, a na jej otwarciu pojawił się we Lwowie Charles Aznavour.

Ja kocham Lwów i z radością oprowadzam ludzi po tym mieście. I mogę o nim opowiadać w nieskończoność…

JSz: Czy chcesz przez to powiedzieć, że turysta jest skazany na przewodnika?

AG: No, może nie aż tak… Ale z przewodnikiem łatwiej i szybciej można poznać miasto i zaprzyjaźnić się z nim. Każdy turysta jest inny, różną ma wiedzę historyczną: dla jednych podawanie dat, nazw i nazwisk jest bez sensu, bo i tak nic z tego nie zrozumieją, a dla innych z kolei jest to nudne, bo to znają. Dlatego ja staram się opowiadać o Lwowie tak, jak pisali o nim Janicki czy Witold Szołginia. Już wielokrotnie mnie pytano, czy nie chciałabym napisać swoich opowieści o Lwowie. Owszem, chętnie, ale na razie nie mam na to czasu. Ale pomyślę o tym. Te opowieści dobrze jest ilustrować, bo turysta lubi oglądać obrazy czy zdjęcia, które pozostają w pamięci.

Najtrudniej jest oprowadzać młodzież, bo nie jest łatwo ją zaciekawić. Często robię więc tak, że ogłaszam konkursy z nagrodami. Pokazuję im na przykład widokówki, a potem pokazuję te obiekty, które widzieli na widokówkach. I jeśli ktoś zgadnie, że zabytkowy obiekt, który właśnie oglądamy, pokazałam na drugiej widokówce – ten otrzymuje nagrodę. I to sprawia, że młodzi ludzie zapamiętują to, co oglądali. Staram się też przeplatać opowieści o Lwowie moimi wspomnieniami o tym

mieście: co mówiły moje babcie, co opowiadała mi mama, przytaczam fajne powiedzonka, recytuję czasem zapomniane wiersze… To sprawia, że ta opowieść o mieście nie jest jedynie historią, a miasto staje się normalne, bliższe.

Ulica we Lwowie.

JSz: Urodziłaś się i wychowałaś we Lwowie, w dawnym Związku Radzieckim, w zupełnie innych realiach niż dzisiejsze. Udało Ci się jednak zachować polskość, świetnie mówisz po polsku. Czy to zasługa domu rodzinnego?

AG: Pochodzę z rodziny mieszanej: mój ojciec jest Rosjaninem,

urodził się na Syberii, ale matka jest Polką z krwi i kości. Poza ojczyzną nie jest łatwo zachować polskość. A trzeba pamiętać, że my nie jesteśmy na emigracji – my jesteśmy Polakami, od których ojczyzna odeszła. Moja mama Maria zadbała o ty, aby w domu wszyscy mówili po polsku, aby żyły polskie tradycje i polski język. Matka Polka to potrafi. W małżeństwach mieszanych wszystko w rodzinie zależy od matki Polki.

Ale też ważne jest to, w jakim środowisku się żyje. We Lwowie mamy dwa polskie kościoły: katedrę i kościół św. Antoniego, które nigdy nie były zamknięte, podobnie jak dwie polskie szkoły – i to nas uratowało. Bywając w innych miasteczkach i miastach na Ukrainie zrozumiałam, że tam, gdzie nie ma kościoła z mszą odprawianą po polsku, albo szkoły polskiej – język polski ginie. Zachować go w rodzinach, które najczęściej są mieszane – jest bardzo trudno.

Mama oddała mnie do polskiej szkoły, pomimo że w tamtych latach – a były to lata 60. – ani nie było to dobrze widziane, ani też nie przynosiło prestiżu. Dzisiaj szkoły polskie są bardzo modne, między innymi dlatego, że od kilku lat nasza młodzież może studiować w Polsce. Zasada jest taka: Polska kształci naszą młodzież po to, aby potem wracała do Lwowa i na Ukrainę. Ale niewielu wraca. I nie można mieć im tego za złe.

JSz: Klasycznym przykładem są Twoje córki…

AG: To prawda. Obie skończyły we Lwowie polską szkołę, w której ja się uczyłam, a potem studiowały w Polsce. Skorzystały ze specjalnego programu Ministerstwa Edukacji Narodowej dla rodzin pochodzenia polskiego. Kasia jest lekarzem chirurgiem, a Eliza jest farmaceutką. Obie mieszkają i pracują w Krakowie. Nasze pokolenie nie miało tej możliwości, aby studiować w Polsce. Dzisiaj jestem szczęśliwa, że moje córki mogły studiować w Polsce, że żyją i pracują w Krakowie.

JSz: Dzięki Światowemu Forum Mediów Polonijnych bywałaś raz w roku w Polsce. Teraz w Polsce bywasz bardzo często, no bo trudno żyć z dala od dzieci i wnuków. Jak ją odbierasz, jak się tutaj czujesz?

AG: Różnie Polacy mówią o swojej ojczyźnie, ale dla mnie Polska jest wspaniałym krajem. Najczęściej bywam w Krakowie, u moich córek, bo teraz mogę. Bacznie obserwuję Polskę od roku 1979. I muszę powiedzieć, że Polska bardzo się zmieniła, wypiękniała. Wioski i małe miasteczka, kiedyś brzydkie, zacofane i biedne, dzisiaj są piękne, zadbane, robią wspaniałe wrażenie. Polska nie musi się już wstydzić, jak kiedyś, pokazywać ludziom ze świata. Bo jest piękna!

JSz: Wciąż pędzisz, trudno za tobą nadążyć… Ale często uśmiechasz się, a zatem nie jest źle. Czujesz się spełniona?

AG: Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo robię to, co lubię… Staram się cieszyć każdym dniem, każdym napotkanym człowiekiem, zrealizowanym wywiadem – bo uświadamiam sobie, że przecież nie dam rady sama wszystkiego zrobić, spotkać się ze wszystkimi, nagrać, utrwalić. To nie jest możliwe.

Kiedy zaczęłam pracować jako dziennikarka, moja mama w pewnym momencie powiedziała mi: *Ty zaczynasz robić za gwiazdę*. Wydaje mi się, że każdy, kto ma do czynienia z pracą twórczą, a więc aktor, dziennikarz czy malarz, w pewnym momencie jest dostrzegany przez ludzi, idą za tym nagrody, wywiady, uznanie. Zaczyna rosnąć, a nawet – jak mówiła moja babcia – woda sodowa troszeczkę uderza do głowy. Bo człowiek powinien być dowartościowany, czuć, że robi to, co jest ważne dla niego i dla innych. A ja czuję się dowartościowana. Także wtedy, kiedy ktoś, kogo oprowadzałam po Lwowie, mówi mi, że dziękuje mi za to, co mu pokazałam i o czym mówiłam, i że musi tutaj jeszcze wrócić.

JSz: Kiedy po odwiedzinach córek w Krakowie wracasz do Lwowa, nie czujesz lęku, obawy, że może jednak trzeba było zostać tam, nad Wisłą, bo tam jest spokojnie, pięknie i bezpiecznie?

AG: Nigdy w życiu nie spodziewałam się, że będę żyć w kraju, w mojej ojczyźnie, w której będzie wojna. I chociaż ta wojna nie

dotyka nas bezpośrednio, nie widzimy jej, ale ona jest bardzo blisko nas, czujemy ją.

Cieszmy się każdym dniem, cieszmy się życiem. Za dużo czasu wszystkim Polakom, również we Lwowie, zajmują bezsensowne kłótnie. Zamiast kłócić się, powinniśmy się nawzajem wspierać, bo jest co robić. A kiedy będziemy się nawzajem szanować, rozumieć i wspierać, na pewno osiągniemy więcej i wszystkim nam będzie lepiej. Zawiść zżera, a kłótnie zabierają czas i energię. Jeśli chcemy być bliżej siebie i pracować wspólnie, aby zachować polskie tradycje i kulturę – to powinniśmy unikać wszelkich waśni. Bo przecież wszyscy Polacy mamy jeden cel, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie – żeby jak najdłużej zachować polskość. Róbmy więc jak najlepiej swoje.

JSz: Żałuję, że nie miałem nigdy okazji zwiedzać Lwowa pod Twoim przewodnictwem. Mam nadzieję, że któregoś dnia przyjadę do tego miasta, z którym i moja rodzina była kiedyś mocno związana, i oprowadzisz mnie po Lwowie…

AG: Zapraszam z całego serca. Pięknych miast na świecie jest bardzo wiele, ale Lwów pozostanie dla lwowiaków – także i dla mnie – najpiękniejszym miastem, bo… to są przede wszystkim sentymenty, bo tu serce przemawia. Pozostają wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy do nas przyjeżdżają kresowiacy, często mówią: *U was jest inne powietrze i nawet trawa jest innego*

koloru!. Dalej więc robię swoje i… już się nie zatrzymam.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.